

JÓZEF POGONOWSKI

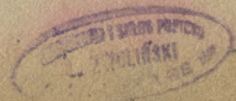
OSTATNI MOHIKANIE
POMORSCY

Cena 2 marki.

NAKŁADEM AUTORA

— Łódź, 1919 r. —

OSTATNI
MOHIKANIE POMORSKY



282287

JÓZEF POGONOWSKI

OSTATNI
MOHIKANIE POMORSKY

~~Wydawnictwo~~

Nakładem Autora
Łódź 1919 r.

PRZEDMOWA.

Nie miałem nigdy szczęścia do cenzury.

Jeszcze za czasów rosyjskich pisywałem nawet w legalnych pismach pod pseudonimem, aby tylko ochronić się od „nabludienia“ nad sobą szpicłów carskich. Boć wiadomą jest rzeczą, że osoba pisząca zawsze była dla tych panów podejrzaną. Rozumie się, że tembardziej używałem tego sposobu w nielegalnych pismach.

I za czasów niemieckich podczas niedawno zmarłej wojny nie udało się mnie zdobyć łaski pana cenzora.

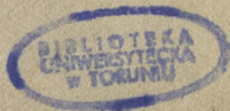
Zawsze tam coś znalezione do wykreślenia tak, że w końcu w artykule z mojej myśli przewodniej pozostały ledwie strzępy.

Redaktorzy zgodnie oświadczyli, że nie umiem pisać dla cenzury.

Cóż ja miałem robić, kiedy napływające myśli nie chciały się trzymać granic, nakreślonych przez ołówki nadzorcy!

Kończyło się zwykle tem, że albo treść całkowicie przekreślano, jak niedawno drukowany artykuł „Chwila obecna“, albo też wykreślano najważniejsze ustępy.

Dla tego postanowiłem przejść do tematów mniej drażliwych.



654271

H. 48/32

W ostatnim czasie naprz. chcąc zwrócić uwagę społeczeństwa na ważne znaczenie zachodniej części gub. grodzieńskiej, napisałem „Obwód Białostocki“ — artykuł ściśle z zakresu historii i etnografji.

Sądziłem w swojej naiwności, że tu już cenzor nie znajdzie pola do popisu.

Jednak i w tym wypadku nie unikałem nagany.

Za największą zbrodnię poczytano mi w cenzurze, że pisząc o „Obwodzie Białostockim“, wspominam o dziejach Litwy, że w artykule wykazuję przewagę żywiołu polskiego i t. d. Nawet osobista interwencja nic nie pomogła, p. cenzor zaślaniał się cyrkularzem, na zasadzie którego nie wolno słowa wspomnieć o Litwie.

W konkluzji zażądano ode mnie usunięcia z całego artykułu słowa „Litwa“, wykreślono całą statystykę, a dopiero w drodze łaski p. cenzor pozwolił wydrukować wstęp — i tylko tyle.

I artykuł obecny, choć napisany jeszcze przed wojną, nie ochronił się przed swoim losem. Cenzor rosyjski uważał, że ja tendencyjnie podburzam Polaków na Niemców i dla świętego spokoju przekreślił go całkowicie.

A przy Niemcach nawet nie próbowałem go oddać do druku.

Dopiero obecnie, za czasów wolności, będziemy mogli swobodnie omawiać wszelkie sprawy polskie.

—
Autor.

Wstęp.

Jeszcze niedawne to czasy, gdy wszelkie sprawy, wykraczające po za granice Królestwa Polskiego, uważano za sprawy nie nasze, a ludzi zajmujących się tymi sprawami — za fantastów, nie wiedzących co zrobić z czasem. Cóż dopiero mówić o sprawach tak dalekich, jak kwestja germanizacji Kaszubów, problemat utrzymania w naszych rękach morza polskiego, germanizacja Warmji lub Mazurów pruskich albo odrodzenie Spisza na Węgrzech!

Wszystkie te sprawy były zaliczone do niedawna do tak zwanych pobożnych życzeń, nadających się co najwyżej do wzdychań i modlitwy, a wykreślonych stanowczo z realnych dążeń ogółu, z szarego codziennego życia.

Nie mówię w danym wypadku o jednostkach, bo tych chwalebnych wyjątków zawsze, dzięki Bogu, w naszym społeczeństwie nie brakowało; ale ogół trwał w niepomiernej apatji i bierności, zajęty pracą na chleb codzienny. I nawet najgroźniejsze zamachy na naszą przyszłość nie zdołały narodu polskiego wyprowadzić z bezwładności i zniewolić opinię społeczną do przeciwdziałania naszym wrogom.

Te czasy, dzięki Bogu, już minęły. Zaczynamy powoli interesować się tym, co robi Poznaniańskie, i jak się broni od wywłaszczenia i germanizacji; zaciekawia nas odrodzenie Śląska.

Bolejemy nad wielkością emigracji do Prus i Ameryki i nad stratą ztąd powstałą tysięcy zdolnych i młodych ludzi. Bierzemy żywy udział, choć tylko uczuciowo w walkach rusińsko-polskich w Galicji; chcielibyśmy zażegnać spory o język pomiędzy Litwinami a Polakami. Jednym słowem powoli wkraczamy w zakres polityki czynnej; chcemy, aby głos nasz miał swoje znaczenie i aby czyny nasze były zgodne ze słowami.

Wtedy katowanie dzieci polskich we Wrześni przez nauczycieli pruskich odbija się głośnie echem w sercach całej trójzaborowej Polonji i jakby prąd elektryczny obiega krańce naszej ziemi i wstrząsa uczuciami i sumieniami wszystkich ludzi dobrze myślących.

Tak samo niedawny napad policmenów berlińskich z gołymi szablami na dzieci, przystępujące do pierwszej Komunji, wprawił w zdumienie cały świat cywilizowany, a dla nas posłużył motywem do silniejszego skupienia się ludności polskiej w kraju i na emigracji.

Przeszłość dziejowa.

Pomiędzy Wisłą, Łabą i Odrą mieszkali od wieków plemiona słowiańskie typu zachodniego — tak zwani Lechici.

Szczepy te nosiły różne nazwy, jak: Lutyków, Łużyczan, Polan, Ślązaków i Pomorców albo Kaszubów.

Gdy Germanowie zostali odepchnięci na wschód od Europy Zachodniej przez królów Frankonji, to z konieczności cała ich inercja musiała się zwrócić na walkę z sąsiadami przeciwległymi, to jest ze Słowianami, jako z wrogiem znacznie słabszym. Zwłaszcza srogim tępicieństwem Słowian odznaczali się monarchowie i książęta z domu saskiego.

Dla obrony od napaści niemieckiej Słowianie lehiccy wytworzyli kilka organizacji państwowych. Znaczniejszymi lub trwałszymi z pomiędzy tych organizacji były: 1) państwo Lechitów, związane na ziemiach Polan nadgoplańskich; 2) państwo Pomorzan na ziemiach Kaszubów Gdańskich; 3) Pomorze Szczecińskie na ziemiach Słowińców i Kabatków; 4) księstwa Lutyków i Wilków — obecnie księstwo Meklenburskie; 5) Księstwa Śląskie. Nie mówię o innych na-

rodkach lechickich. Te po krótszej lub dłuższej walce ulegały przemocy niemieckiej. Z kolei Niemcy następowały powstania, w trakcie czego Niemcy albo wycinali te plemiona doszczętnie, lub też resztki zmuszali do szybkiej germanizacji.

Był czas, gdy mieczem i głową Bolesławów—Chrobrego i Krzywoustego udało się prawie wszystkich Słowian lechickich zjednoczyć w jeden organizm państwowy. Ale mali potomkowie wielkich królów rozproszyli dzieło Bolesławów. I ludy lechickie, chwilowo zjednoczone siłą oręża, znów się rozprzegły na oddzielne państwa, których dzieje potoczyły się odtąd już odrębną koleją losów.

Najdłużej trwały księstwa Śląskie, bo do połowy XVII wieku. Księstwa Lutyków i Wilków istnieją i do obecnej chwili, jako Meklenburg Strelitz i Meklenburg Schwerin. Nawet księstwami tymi rządzą i teraz potomkowie, pochodzący w prostej linii od książąt słowiańskich.

Lecz oderwanie się od macierzy nie posłużyło państwom tym na zdrowie.

W księstwach Meklenburskich, jako też na Rugii, już dawno zamarł język słowiański. Na Śląsku pozostało ledwie 30% ludności polskiej w liczbie 1½ miliona głów. Również długie dzieje były i Pomorza Szczecińskiego.

Pomimo stałej germanizacji Pomorzyczków nawet ostatni jej książę nosił imię słowiańskie (Bogusław XIV—umarł w 1637 r.).

I choć ludność słowiańska na Pomorzu Szczecińskim stale się zmniejszała, to jednak w tym wypadku przyczyną tego był zapewne nie miecz,

ale wyższa kultura Niemców, faworyzowanie ich za pomocą różnych przywilejów i oderwanie się od kościoła katolickiego.

Wspomniany wypadek porwał ostatnie nici pomiędzy ewangelickimi Pomorzanami a katolicką Polską.

Jeszcze w roku 1637-ym na rozkaz Bogusława XIV wydany był nakaz wychowywania pastorów w języku polskim dla okolic Słupska, Miastka, Łęborka i Bytowa.

Gdy jednak ze śmiercią ostatniego księcia, Pomorze Szczecińskie drogą spadku przeszło na margrabiów brandenburskich, ci ostatni używali wszelakich sposobów, aby zabić ostatnie dźwięki mowy słowiańskiej.

Od tej pory mowa polska na Pomorzu Szczecińskim zaczęła szybko tępnieć, i w końcu zeszła do 7—8.000 głów, jak oblicza rosyjski pisarz Hildebrandt w roku 1856-ym, a obecnie ma być ich podobno nie więcej jak 800 osób.

Jak widzimy z tego pobieżnego przeglądu państwo polskie było nie jedno, i historycy nasi grzeszą ogromną jednostronnością, gdy o wielowiekowym księstwie szczecińskim zamieszczają w dziejach polskich ledwie parę wierszy.

O potomkach twórców księstwa szczecińskiego chcielibyśmy przedewszystkiem pomówić w tej broszurce słów parę.

Mohikanie pomorscy.

„Żądza serc wielu może pod mogiłę
Zstąpić, jak anioł i anielską siłę
Wlać w kość i popiół—nazań stworzyć naród
—Bóg w Wolę ludzi rzucił cudow zaród.“

Zygmunt Krasiński.

To są ostatni Mohikanie pomorscy. Ile powieści napisano na temat dzikich Indian przy zetknięciu się ich z kulturą europejską. Ile uczucia wiano w te powieści dla dawniejszych władców Ameryki. Z jakim przejęciem młodzież czyta te powieści. Jak wielką sympatją otacza tych bohaterów ze stepów i puszczy indyjskich; ile naśladownictwa i czynów chwalebnych zrodziły te prozą pisane utwory poetyckie!

A wszystko to dla obcego, dalekiego świata! Bo człowiek stara się zawsze przeciwstawić śmierci. Dlatego też wszystkie twory żywe, ginące bez winy a często i bez walki ludzkość zawsze będzie otaczać swoją sympatją.

Widzimy więc, jak wielkie są nasze sympatje dla dalekiah, dzikich Indian w Ameryce.

A czyż nasi kulturalni Mohikanie są mniej godni naszej uwagi? Czyż nie są warci pióra jakiego wielkiego poety o gorącym sercu, który by opisał ich walki i nadzieje, zwycięstwa i porażki, aby w końcu zginąć w morzu niemieckim bez wieści i chwały.

Czyż myśli nasze i czyny nasze nie skierujemy na ich obronę od śmierci narodowej?

Ileż tam dramatów dzieje się w rodzinach!
Oto jeden ze zwykłych obrazków.

Ojciec rodziny, Słowiniec stary, umiera spokojnie na łożu boleści, otacza go zwartym kołem gromadka płaczących dzieci i wnuków.

Był rybakiem z nad jeziora Gardęńskiego...

Całe życie przebiegał wzdłuż i wszerz tak jezioro swoje rodzinne jak i dalsze Łebskie lub też burny Bałtyk.

Ileż to burz on zwalczył, ile to zamieci śnieżnych przeniósł, ilu biczymi strumieni deszczowych zawierucha smagała jego opalone lice!

I tak przemknęło się jego życie, jakby z biczem trząsk. A teraz zbliża się koniec.

Z rozpalonych ust starego rybaka wyrrywają się oderwane słowiańskie wyrazy, zdawałoby się —bez związku i myśli. I nikt go z otaczających nie rozumie...

Życie jego przebiegło w trudzie i znoju, w ciągłej pracy na chleb powszedni, w walce o byt dla siebie i swoich dzieci—nigdy nie miał czasu.

Nie miał czasu zastanowić się nad kwestjami, nie związanymi z codzienną pracą. Powierzył wychowanie dzieci żonie, a ona z-kolei rzeczy pastorowi i nauczycielom i ani się spostrzegł, jak z dzieci własnych wyrosli mu wrogowie. Wrogowie jego wierzeń, wrogowie tradycji, i zwyczajów; dziś nie rozumieją nawet mowy jego. Obca kultura do jego gniazda zniosła wrogie idee, aż własne dzieci przemieniła mu w nieprzyjaciół.

A on jak ta mała ptaszyna, znosił całe życie pożywienie dla swego potomstwa, myśląc, że to jego następcy w myślach i uczuciach,

Aż zwałała go z nóg choroba. Teraz starzec ma czas... To też myśli rybaka przebiegają całe swoje życie.

Cóż go dziś, w godzinie śmierci, łączy z tymi dziećmi?

Z całego długiego i znojnego życia pozostała mu jedna droga pamiątka — polski modlitewnik kościelny. W nim on składał swoje ukochania i bóle, w nim on wznosił modły do Boga — ta książka była jego wiernym towarzyszem od młodych lat aż do zgonu.

A co dziś stanie się z jego towarzyszem?

Czy książka ta nie będzie poniewierana po kątach, jako rzecz niepotrzebna — ostatek zaginionego świata.

Więc starzec woła dzieci, i łamiąc myśli swoje w mowie Giermanów w te słowa się do nich odzywa: „Dzieci moje, po mnie pozostanie tylko jeden przyjaciel — ta książka do nabożeństwa, która mówi do mnie językiem Ojców moich. Wam to nie na co, wam to niepotrzebne. Wyście owiani innym duchem w kościele i w szkole. Moją mowę rozumie tylko jeden Burek stary, chociaż nie mówi; i on jeden zapewne na moim grobie zapłacze. Książkę tę dzieci moje pochowajcie w jednym grobie ze mną“.

Tak umierają ostatni Mohikanie pomorscy... A razem z nimi idzie do grobu ostatni kawałek Polonji Szczecińskiej*).

*) Opisany wypadek może być uważany za autentyczny.

Takie polecenia dają swoim dzieciom ostatni Słowińcy, których rodzina już się zupełnie wynarodowiła.

Dlatego też uczeni lingwiści w poszukiwaniu zabytków języka słowiańskiego, rozkopują zwykle starożytne groby, aby tylko natrafić na owe modlitewniki.

Wezwanie do młodzieży.

Jednak duch to twardy...

Jeszcze w r. 1856 badacz rosyjski Hildebrandt przepowiada, że za jakie 20 — 30 lat i śladu nie pozostanie po Słowińcach. To samo mówi Alf. Parczewski w r. 1885.

Uczeni rosyjscy, niemieccy i polscy już dawno „requiem“ odśpiewali nad grobem tego szczepu, a jednak on wciąż żyje. Duch jego nie chce wyjść z ciała do obecnej chwili, jakby oczekując kogoś upragnionego, jakby spodziewając się lepszej przyszłości — tej zorzy wschodzącej.

Młodzieży Polska! Czyż mamy pozwolić, tej garstce naszych rodaków z nad Lupawy i Gardna zginać marnie? Czyż nie jest naszym obowiązkiem pospieszyć im na ratunek, jak ludziom ginącym na morzu.

Może powiedzą nam, że garstka 700 — 800 osób nie da się uratować; że uczeni orzekli już dawno śmierć nad tym ludkiem.

Czyż ma nas rozłączyć różnica wiary, że owi Słowińcy są ewangelikami?

Wszak zawsze odznaczaliśmy się tolerancją religijną, pomimo tego co piszą o nas wrogowie nasi. Narodowość jest jednym z przejawów ducha. A w kwestjach duchowych ostateczną instancją nie jest opinia uczonych ale serce...

Dziś na Pomorzu Szczecińskim jest tak, jak przepowiadał Krasiński „W Dniu Dzisiejszym“.

„Lud twój się dostał drugiemu ludowi
Na krew i pokarm. — Ojców twych spuściznę
Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę“.

Jednak Krasiński, mocą ducha przewidując przyszłość, nie wahał się odpowiedzieć szatanowi:

„Konieczność, Duchu, jest sługą wolności.
Ten żyć nie umie, kto prawa nie rości“.

„Wieczna pokora w łzach i krwi—przed Bogiem,
Bunt nieśmiertelny w łzach i krwi—przed wrogiem.
To los nasz — zakon — to nasze sumienie.
Przeszłości chwała — przyszłości zbawienie“.

Jeszcze naród słowiński nie umarł, jeszcze pokost niemiecki jest bardzo świeżej daty.

Nawet mówiący po niemiecku wtrącają całą masę wyrazów i zdań słowiańskiego pochodzenia.

Nawet tu u nas w Łodzi jest cała masa ludzi, których sąsiedzi Niemcy nazywają „Kaszubami“, i mówią że z nimi nie można rozmówić się po niemiecku. A nam się zdaje, że to są Niemcy.

I nic dziwnego, są to przeważnie wychodźcy z Pomorza Szczecińskiego—zgermanizowani Kaszubi.

Zbadać ich język byłoby rzeczą bardzo ciekawą.

Przykłady oporu czynnikom asymilującym.

Że w kwestjach narodowości liczba jak również wyrok uczonych nie zawsze mają decydujące znaczenie, całej masy przykładów dostarcza nam historia.

Potomkowie wychodźców z Indostanu — Cyganie tułają się oddzielnymi rodzinami pomiędzy wszystkimi narodami Europy i do tej pory nie ztracili swojego języka i narodowości. Koptowie są niewątpliwymi potomkami Egipcjan a zachowali do tej pory swój odrębny język.

Zapewne Kurdowie są potomkami Assyryjczyków, a Druzowie—Syryjczyków. Istnieją te narody do obecnej chwili, choć od zniszczenia ich państw i zatracenia niepodległości upłynęły tysiące lat.

Potomkowie Gallów—Bretonowie żyją jeszcze we Francji, potomkowie Iberyjczyków—Baskowie liczą również paręset tysięcy w Hiszpanji. Za to dumne ale niemoralne pany Rzymu wyginęli doszczętnie, a pozostali tylko potomkowie ich niewolników.

Jeszcze charakterystyczniejsze są przykłady z dziedziny wiary, jako najczystszej przejawu ducha



ludzkiego. Wszak Żydzi są potomkami sekty Faryzeuszów, a Karaimi również egzystują jako potomkowie Esseńczyków czy Saduceuszów.

To samo da się powiedzieć o Samarytanach, żyjących w Małej Azji w liczbie paruset do 1½ tysiąca osób.

I w XX wieku nie wyginęli zwolennicy Zarastrostry. A choć rozproszeni na ogromnej przestrzeni pomiędzy inowiercami, zamieszkują w Iranie i Indostanie w liczbie kilkudziesięciu tysięcy osób pod nazwą Parsów. I Parsowie ci nie myślą zmieniać swoich wierzeń, choć idea ta powstała przed paru tysiącami lat przy początkach kultury ludzkiej i przy odrębnych warunkach życiowych.

Zresztą na poparcie naszego twierdzenia możemy przytoczyć przykłady i z naszych dziejów.

Otóż, gdy ks. Adam Czartoryski po wojnie krymskiej z emigrantów politycznych uformował wieś Adampol na brzegu Małej Azji w okolicach Konstantynopola, to mała ta społeczność polska nie tylko nieupada i nie wynarodawia się, ale nawet systematycznie rozwija się i dziś doszła do liczby 2 setek osób. To samo da się powiedzieć o przymusowych emigrantach w Saratowskiej gubernji, usuniętych ze Smoleńszczyzny przez Aleksieja Michajłowicza lub o wysiedleńcach z czasów Mikołaja I-go w okolicach Perekopu.

Pobudka do czynu.

Jak widzimy rodacy nasi nie łatwo wyzbiją się swoich obyczajów i języka na korzyść obcych.

Dlatego i ta mała społeczność polska powinna być celem opieki naszego narodu.

Młodzieży Polska! Czyż mamy czekać bezwolnie aż ludek ten wynarodowi się ostatecznie.

A dla uratowania go tak mało potrzeba!

Wszak teraz zbliżają się wakacje. Niech najmniejsza młodzież skieruje swoje kroki do Izbicy i Kleków, tych przeważnie słowińskich wsi jak również do Cecenowa, Poblucia, Smałdywia i okolicy. Niech nie zwraca uwagi na wygody i osiedli się tam na całe lato.

A gdy stale z godnością będzie używać w potocznej rozmowie języka rodzinnego, wtedy tamtejsi gospodarze przestaną się dziwić, że ludzie młodzi a tak dobrze mówią po naszymu!

Zwłaszcza obowiązek ten tyczy się Polaków— ewangelików, jako najbliższych wiarą Słowińcom.

Niech starsi ludzie wezmą kilku z młodzieży słowińskiej na wychowanie i jako uświadomionych już pracowników niech odeślą z powrotem nad Gardno.

Gdyby który z bogatszych ludzi kupił w tamtej stronie majątek ziemski i trzymał całą służbę

polską, byłoby to potężnym hamulcem przeciw germanizacji. Również, gdyby udało się w okolicy słowińskiej rozkolonizować choć jedną wieś pomiędzy poznańczyków lub kaszubów gdańskich — miałoby to ogromne znaczenie dla tego ple-
mienia.

Że zgalwanizowanie tego tak zwanego „trupa“ słowińskiego byłoby rzeczą możliwą, są dowody i z obecnych czasów.

Gdy archeologowie rzucili się na to ciepłe jeszcze cmentarzysko słowińskie i zaczęli szukać pamiątek i zabytków po ginącym ludzie, zwłaszcza rozkopywać groby, szukając tam modlitewników i biblii słowińskich, fakty te zainteresowały całą okolicę. Nawet zupełnie zgermanizowani Kaszubi — prawdziwi Niemcy, przychodzili się pytać pastorów, czy to prawda, że ludzi mówiących słowińskim językiem są miliony i że język ten kiedyś zapanuje na całym świecie.

A polskość od wschodu zbliża się systematycznie ku tej prastarej ludności lechickiej. Polacy, wypierani z Prus Królewskich przez ustawy, prawa wyjątkowe i wywłaszczenie, tu się swobodnie osiedlają.

Wchłonałszy resztki miejscowej ludności pod nazwą Kabatków, przez stały przyływ emigracji i naturalny przyrost ciągle posuwają się na zachód.

Dla tego powiaty Lęborski i Bytowski wykazują stały wzrost ludności polskiej.

Tak naprz. Czyński wykazywał był (w r. 1887)

1) w pow. Lęborskim	1,90%	— 800 osób
2) w „ Bytowskim	12,5	— 2800 „
Czyli razem		— 3600 osób

Spis z r. 1900 wykazuje już 8000 osób w obu

powiatach z 2 języcznemi, a spis z 1910 około 12000 osób. Ciekawe są cyfry głosów polskich oddane na posłów do parlamentu niemieckiego

	1890 r.	1903 r.	1912 r.
pow. Lęborski i Słupski	44	361	451
„ Bytowski, Stawieński i Młastkowski	64	521	712

Ta wyspa słowińska oddzielona jest niewielką przestrzenią powiatów Lęborskiego i w części Słupskiego od Kaszubów Wejherowa.

Jako świeży przykład odrodzenia narodowego dał nam von Olszewski z Dolnego Śląska, człowiek od wielu pokoleń zgermanizowany, który, zdawało się, oprócz nazwiska nie miał nic wspólnego z nami. A jednak i ten człowiek pod wpływem niemieckich przekładów Sienkiewicza tak się przejął duchem polskim, że zapisał swój majątek synowi pod koniecznym warunkiem, że się nauczy języka przodków swoich.

Aby jednak wola jego nie była zlekceważona, von Olszewski wykonawcą swego testamentu mianował tegoż Sienkiewicza.

Więc przyszłość światlejsza zbliża się do Słowińców w wielkimi krokami.

Dzisiaj Niemcy śpiewają „requiem“ nad grobem tego prastarego ludu lechickiego.

Gdybyśmy uczynili wszystko, co od nas wymagają obowiązki narodowe, wtedy moglibyśmy zanucić pieśń radosną. Oby się tak stało!

Pomorze Kaszubskie.

Dzieje Pomorza Kaszubskiego potoczyły się odrębną koleją losów, ale też i rezultat tych dziejów jest znacznie korzystniejszy dla Polski.

W zaraniu dziejów, przez długie wieki, Pomorze Gdańskie było zupełnie samodzielną dzielnicą. Dopiero wyprawy Bolesławów:—Chrobrego i Krzywoustego, zdołały na krótko przywiązać tę dzielnicę do rydwanu Polski. Jednak już za następców Krzywoustego Pomorcy zdołali się pod wodzą swego wojewody Mestwina uwolnić od poddaństwa Polski. A z czasem tytuł wojewody stał się dziedzicznym w rodzie Mestwina; a następnie potomkowie ogłosili się książętami dziedzicznymi i panowali na Pomorzu aż do 1290 roku.

Ci Mestwinowicze zawsze odznaczali się miłością kraju i nienawiścią do Niemców. Walczyli też zacięcie z Krzyżakami często nawet z powodzeniem.

Ostatni potomek z tego rodu Mestwin II zapisał Pomorze Przemysławowi, księciu Wielkopolskiemu, a po tragicznej jego śmierci w roku 1294 Pomorze drogą spadku przeszło na Władysława Łokietka.

Gdy jednak do kraju tego rościli pretensję i margrabiowie brandenburscy, to aby usunąć

ich wojska z Gdańska, przywołali wojewodowie Łokietka na pomoc Krzyżaków. Zdradzieccy mnichowie rzeczywiście zdołali wyżenąć z kraju Brandenburczyków. Za to w podstępny sposób wpadli do miasta podczas jarmarku i wymordowali załogę i około 10000 okolicznych mieszkańców.

Od tej pory krzyżacy panowali aż do 1466 roku, to jest do traktatu toruńskiego.

I zadziwiająca rzecz! Choć następnie Polacy panowali do r. 1772 a w Gdańsku jeszcze 20 lat dłużej, to krótkotrwałe rządy krzyżackie więcej pozostawiły śladów w kraju, jak 3 wiekowe panowanie Polski.

Jest to ten sam wypadek, który widzimy u nas w Królestwie, gdzie 12 letnie rządy pruskie (od 1795—1807) pozostawiły tak wybitne ślady pod postacią nazwisk niemieckich u Żydów. Jest to dowód jeden więcej, jak mało umiemy coś robić systematycznie... Od czasu powtórnego panowania Prusaków vel Krzyżaków zaczęło się systematyczne rugowanie Polaków z ziemi, czy to pod przykrywką niemieckiej kolonizacji dóbr klasztornych i skarbowych, czy też otwarcie w formie Komisji Kolonizacyjnej i wywłaszczenia.

I Prusacy w znacznej części dopięli swego celu.

Dzis Prusy Zachodnie, dawniej Królewskie stanowią kraj o znacznej przewadze Niemców. Wprawdzie i za czasów polskich Prusy Królewskie były ogromnie zniemczone, ale w każdym razie nie w tym stopniu co obecnie.

Jeszcze niedawno stanowiliśmy w tym kraju ledwie 35% ogółu ludności.

Od czasów jednak prześladowania położenie Polaków stale się polepsza. Dziś Prusy Królewskie (spis z 1910 r.) przy ludności 1.703.000 osób mają 604.000 ludności polskiej, co wynosi 37% ogółu ludności.

Wprawdzie spisom tym, jak i wogóle Prusakom, nie bardzo można dowierzać, ale w każdym razie charakteryzuje to dobrze ekonomiczny i li czebny rozwój ludności polskiej.

Przechodzimy następnie do północnych powiatów kraju, jak Pucki, Wejherowski, Kościerzynski i Starogródzki, które stanowią właściwe Kaszuby. Pruskie spisy z r. 1910-go wykazują dla tych powiatów następujące cyfry (r. 1910-ty)

	Ludność	Polaków	Niemców
pow. Pucki	26600	70%	30%
„ Wejherowski	61600	49,7%	50,2%
„ Kościerzynski	56000	57,6%	42,3%
„ Starogródzki	65400	73,70%	26,20%

Jak widzimy z tych cyfr w kraju tym jesteśmy nie na obczyźnie a w swojej rodzinnej ziemi.

Polski brzeg morski zaczyna się od Wrzeszcza (Langfuhr), milę od Gdańska; ciągnie się przez pow. Wejherowski i Pucki, następnie wkracza do pow. Lęborskiego na Pomorzu, gdzie się już styka z Niemcami.

Niektóre wsie polskie podchodzą aż do samego Gdańska. Dalsze powiaty wschodnie już tylko niewielką ilość ludności polskiej posiadają, jednak jeszcze gdański zachodni ma 11,35% Polaków, podług pruskich źródeł, a zapewne w rzeczywistości więcej. Same miasto Gdańsk liczy parę tysięcy Polaków ze sfery robotniczej i rzemieślniczej.

Obecny stan kwestji Kaszubskiej.

Gdy w ostatnich czasach obudziła się znów energia w naszym narodzie, z kolei rzeczy musiała się wysunąć na stół i sprawa Kaszubska.

A czas był wielki zająć się tą sprawą!

Naciskani ze wszystkich stron przez Niemców i ich instytucje, jak Komisja Kolonizacyjna, włości rentowe, leśnictwa państwowe; pozbawieni szlachty i swojskiej inteligencji, Kaszubi niedługo mogliby się opierać nawale niemieckiej.

Dla Kaszuby każdy człowiek inteligentny musiał być z konieczności Niemcem i Kaszuba nie wyobrażał sobie, aby język jego mógł służyć do czegoś więcej, jak do domowego użytku.

Dla tego takie szczyrby dały się zauważyć w naszym stanie posiadania na Kaszubach.

A nie trzeba chyba być politykiem, aby zrozumieć, że Niemcy muszą użyć wszelkich wysiłków, by nas zgnieść i wyrugować z Pomorza Kaszubskiego.

Wszak za Wisłą leży serce Prusactwa—Królewiec. Jeżeli Prusy Wschodnie, tak zwane Książęce, mają otrzymać lądowe połączenie z resztą ojczyzny niemieckiej; jeżeli Prusy chcą się posunąć na wschód, aby dać ujście nadmiarowi swojej ludności, to oni muszą w sercu swoim zapisać nam śmierć narodową, tak nad brzegami morza i nad ujściem Wisły.

Przecież Fryderyk I, nie mogąc otrzymać Gdańska i Torunia na drodze dobrowolnych układów, aby tym sposobem zbudować most pomiędzy Prusami Książęcymi i Brandenburgją, dał impuls do rozbiorów Polski.

Ztąd ziemię kaszubskie i nadwiślańskie były bezpośrednią przyczyną upadku Polski, a znaczenie ich dla Prus i dzisiaj się nie zmniejszyło.

A dla nas czy ziemia ta jest również mało-znaczną?

— Jest to jedyne wyjście nasze do morza — dla naszego handlu i wolniejszego oddechu.

Każdy naród, który chce czemś być, musi mieć wolny dostęp do morza; choćby dla bezpośredniej komunikacji z sąsiadami, a ztąd i z całym światem. Ledwie rok minął, jak byliśmy świadkami zaciętej obrony brzegu morskiego przez Serbów, zabranego w dodatku w kraju obcym — na Albańczykach. To też wielkie znaczenie brzegu morskiego dla przyszłego naszego rozwoju nie może ulegać wątpliwości.

Jednak lata szarżyzny i pracy tylko na własnym zagonie wyrobiły taką ignorancję w sprawach narodowych, jak w żadnym innym.

Otóż i obecnie, gdy powódź zniszczyła cały dobytek Kaszubów nadmorskich, i ludzie żywej wiary, chcieli im pomóc w jakikolwiek bądź sposób; jednemu z moich znajomych, zbierającemu składki na powodzian zdarzył się taki wypadek.

Na propozycję niewielkiego datku, nauczyciel, człowiek zdawało się inteligentny, odpowiedział: „a cóż to, może mam dawać i na Japończyków, jak będzie u nich trzęsienie ziemi“. Rzecz ta nie potrzebuje, zdaje się, komentarzy.

Po wypadkach znów we Wrześni, najpoczytniejsze pisma warszawskie, nawoływały do bojkotu Sopot, nazywając letnisko to — obcym, niemieckim „badem“.

Pomoc społeczeństwa polskiego.

Zapewne zapyta się mnie czytelnik: wszystko to dobrze, ale cóż my tu w kraju możemy pomóc tym biednym Kaszubom w ich walce z germanizacją. I wiele jednak...

Ludność polska w Królestwie jest liczna. A i inteligencja jest coraz liczniejsza i sporo zajmuje stanowisk wpływowych.

Właśnie obecnie zbliża się chwila, gdy pan domu, badając zawartość swojej kieszki, pod wpływem ukochanej małżonki zastanawia się nad wyborem letnisk i zdrojowisk. A takich rodzin polskich, wyjeżdżających za granicę mamy w kraju tysiące i dziesiątki tysięcy. Niech że ci panowie skierują swe kroki nie do „badów“ niemieckich, a do Pomorza Kaszubskiego: do Sopot, do Gdyni, do Rewy i do innych miejscowości, w jakie obfituje nasz brzeg morski.

A wtedy i korzyści będą wielorakie, nie tylko osobiste pod postacią zdrowego klimatu i taniej miejscowości, ale i narodowe skutkiem uświadomienia okolicznej ludności.

Nie zapominajmy o tem, że Niemcy wszelkimi siłami starają się wytworzyć z Kaszubów odrębny naród. Nawet w swoich obliczeniach statystycznych odrębną rubrykę mają dla Kaszubów a inną dla Polaków. Co prawda, to trzy-

mają się tej metody i w stosunku do Mazurów w Prusach Wschodnich. Metoda to stara „divide et impera“ aby łatwiej zgnieść poszczególne części.

Dla tego same zetknięcie się członków poszczególnych dzielnic na gruncie Kaszubskim mogłoby przynieść tym okolicom ogromne korzyści i zatrzeć te różnice, które starają się Prusacy podkreślić i rozdmuchać do wielkich rozmiarów.

Dzisiaj dla Kaszuby, ogłada towarzyska, za-
możność, wykształcenie i wogóle wszystko, co się nazywa kulturą, jest jednoznaczne z niemiec-
kością. Swój zaś rodzinny język uważa Kaszuba za odpowiedni dla kuchni i przedpokoju, a nie dla wykształconych ludzi. Dla tego do ostatnich chwil tak chętnie lgnął do Niemców. Niechże nasi kuracjusze nie zapominają o godności narodowej i wszędzie i na każdym miejscu niech starają się przemawiać w swoim rodzinnym języku. Niech nie zapominają, że są we własnym kraju, niech najmuja wille tylko u swoich i w sklepach niech kupują tylko polskich.

A gdy kuracjusze nasi przy zetknięciu się z Kaszubami, czy to na wycieczkach, na rynku lub podczas uroczystości narodowych, będą objaśniać miejscową ludność o wielkiej liczebności i wysokiej kulturze narodu polskiego, wtedy Kaszuba nabierze o sobie lepszego wyobrażenia i nie tak łatwo będzie lgnął do Niemców.

Rozumie się, że nie powinniśmy zapominać o instytucjach kulturalnych miejscowych, które wszelkimi siłami powinniśmy wspomagać, czy to za pomocą datków pieniężnych, czy to za pomocą ofiar w naturze.

A wtedy, być może, zaświta inna dola nad tym krajem.

Wynarodowienie.

Każdy naród, każde nawet plemię ma pewien ustrój duchowy, wypracowany w ciągu długich wieków wspólnego życia, często w czasach przed-historycznych.

Socjologowie nazywają te rysy duchowe psychologią danego narodu

Jednym z takich przejawów ducha ludzkiego jest język narodowy. Muszę podkreślić, że jest jednym, ale nie jedynym czynnikiem duchowym. Na zasadnicze objawy ducha narodowego składają się: jego język, kultura, obyczaje i wierzenia.

Do wytworzenia jednolitego narodu w znaczeniu etnograficznym konieczne jest zmieszanie krwi pomiędzy poszczególnymi odłami ludności.

A tymczasem niema nic fałszywszego, jak ustalone pojęcia na tą kwestję w naszym społeczeństwie.

U nas uważa się zwykle, że jeżeli ktoś przyjął język swego otoczenia, na przykład — polski, to już jest Polakiem. Dla tego z całą naiwnością uważało się Żydów, mówiących po polsku, za Polaków.

To też Galicja przed wojną wykazywała na 800 tysięcy żydów aż 640 tysięcy Polaków. Czyż może być coś naiwniejszego nad takie złudzenie. Wojna obecna wykazała to aż nadto dowodnie, że tak nie jest.

Tymczasem Żydzi, gdyby nawet szczerze chcieli, nie mogli by być w całej masie Polakami, jeżeli pominiemy poszczególne jednostki. Boć ustrój duchowy danego narodu nabywa się nie znajomością języka, nie wykształceniem, a przez zmieszanie krwi i tylko w ten sposób wbrew ustalonym przekonaniom.

Polacy z Żydami mogli by wytworzyć naród tylko w znaczeniu politycznym, jak Amerykanie, nigdy w znaczeniu etnograficznym.

Gdyby nawet nastąpiło w całej mieszaninie krwi z Żydami, to wytworzyłby się naród odrębny — ani polski, ani żydowski. W każdym razie naród ten miałby więcej rysów żydowskich, jako rasy starszej i przez to silniejszej, niżli polska.

Tę stronę kwestji chciałbym jeszcze lepiej oświetlić i dla tego przytoczę jeszcze kilka przykładów.

Nikt naprzykład murzyńców z San Domingo, mówiących po francusku, nie uważa za Francuzów, ani też murzyni amerykańscy nie są Anglikami. To samo da się powiedzieć o Indianach, mówiących po hiszpańsku i angielsku lub o murzynach z portugalskim językiem, jak obecnie rodzinnym.

Można by się zapytać, dla czego tak jest?

Wiadomo jest, że prawa przyrodnicze przyłączeniu odrębnych gatunków zwierząt i przyłączeniu ludzkich ras są jedne i te same.

Zupełnie słusznie dowodzi p. Erazm Majewski*), że różnice pomiędzy rasami ludzkimi ze względu na ich ustrój duchowy są jeszcze większe, jak pomiędzy poszczególnymi gatunkami zwierząt.

*) Teorya Człowieka i Cywilizacji, Warszawa, 1911 r.

Dla tego łączyć można tylko rasy zbliżone duchowo do siebie.

A jeżeli nawet nastąpi zmieszanie krwi pomiędzy dalekimi sobie rasami, to albo potomstwo ich będzie bezpłodne, albo wymrze w niewielu pokoleniach.

Z rozumowania naszego wynika, z jednej strony — że my Żydów w całej masie nie moglibyśmy zasmilować, a z drugiej strony — że zatracenie języka nie rozwiązuje jeszcze problemu narodowości danej grupy.

I choć Giermanowie są więcej zbliżeni do Słowian, jak Żydzi do Polaków, to jednak różnice psychologiczne pomiędzy jednymi i drugimi są ogromne.

Plemię rozbójnicze, napadające wszystkich sąsiadów, tak w przeszłości jak i obecnie, niema wiele wspólnego z Lechitami, którzy za podstawę swego światopoglądu przyjęli: ciszę, spokój domowy i odpieranie najezdników we własnych granicach. I choć widzimy, że ci Słowianie lechiccy tak na Pomorzu jak w Meklenburgji, w Łużycach lub na Śląsku przyjęli mowę Giermanów, to jednak nie można jeszcze uważać, że oni się doszczętnie wynarodowili.

I jeżeli nie nastąpiło jeszcze ścisłego zmieszania krwi z Giermanami, to przy sprzyjających warunkach może nastąpić proces odwrotny.

A na taki wypadek mamy w dziejach przykładów bardzo wiele.

Wiadomo powszechnie, że po bitwie pod Białą Górą w r. 1620 Czesi w ogromnej części zostali wynarodowieni i pozbawieni stanów wyższych. Jednak pomimo tego w XIX wieku zaczął się proces odwrotny i cała masa ludności przyjęła znowu język czeski za swój rodzinny.

A czyż Irlandczycy nie są nowym dowodem, gdy cała prawie ludność, za wyjątkiem kilku tysięcy, zatraciła swój język rodzinny; a dziś proces rewindykacyjny w całej sile postępuje na korzyść języka iryjskiego. Dla tego i dla nas, choć ludność wschodnich prowincji pruskich zatraciła język słowiański, nie wszystko jeszcze stracone.

Prawa etnograficzne i chemiczne są bardzo do siebie zbliżone. Żadne środowisko nie może pochłaniać obcych pierwiastków bez liczby i miary; w przeciwnym razie może nastąpić przeładowanie i wykrystalizowanie obcego ciała.

Wiemy dobrze, że Niemcy pochłonęli pierwiastków słowiańskich wiele, może nawet za wiele.

Dla tego starajmy się przyspieszyć ten proces odwrotny, a praca ta z punktu widzenia ściśle naukowego nie jest beznadziejną.

KONIEC.

Ws. Gof
Ws. Gof



Biblioteka Główna UMK



300001506886

654277

60.000,-

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

654271

18

